NR. 4 24 GRUDNIA 1904 R.

Polak w Brazylji
Dodatek Illustrowany

Papież Pius X.

Rysunek nasz przedstawia Ojca św. Piusa X. podczas przechadzki po ogrodach Watykańskich. Sam On ubrany biało, stoi na przedzie z laską w ręku; nieco za nim widać jednego z towarzyszących mu kardynałów. W głębi na prawo stoi papieski żandarm w kasku z wielkim farbowanym końskim ogonem na wierzchu i w charakterystycznym mundurze w czerwone i żółte pasy, na lewo lokaj w liberji watykańskiej. W dali widać wielką kopułę Kościoła św. Piotra.

Świątynia ta należy do najwspanialszych budowli świata i jest tak wielką, że w swym wnętrzu może pomieścić kilkanaście tysięcy osób. Budowa jej trwała wiele lat dziesiątków i pochłonęła bajeczne sumy pieniędzy. Nad budową i upiększeniem tego kościoła pracowali najsławniejsi budowniczowie i artyści świata. Zresztą o jego ogromnie i wspaniałości mogą czytelnicy wnosić chociażby i z tego, że samo utrzymanie go kosztuje sto tysięcy franków rocznie. Słusznie też świat katolicki jest dumny z tej świątyni.



Pius X. w ogrodach watykańskich.

Nowy Papież odznacza się nadzwyczajną prostotą, łagodnością i uprzejmością w obejściu, którą ujmuje i podbija sobie wszystkich. Pius X rozumie doskonale, że kościół stanowią nie tylko kardynałowie i biskupi, ale też i nie odznaczeni żadnemi honorami księża i wierni, co kilkakrotnie zaznaczył w swych przemówieniach, zachęcając prałatów do zbliżenia się z tymi, których mają powierzonych swej opiece.

Ojciec święty zaczyna potrochu usuwać się od wewnętrznej polityki Włoch i mniej aniżeli jego poprzednicy zaznacza swoje pretensje do władzy świeckiej i przywrócenia Mu państwa kościelnego. Zachowanie się takie ma jaknajlepszy skutek, bo i rząd włoski przychylniej patrzy na głowę Kościoła i w samym narodzie cichnie nienawiść i podział na stronników Papieża i rządu i wszyscy razem łączą się, by pracować dla wspólnego dobra. Jednym ze skutków takiego połączenia się stronnictw dotąd sobie wrogich, był rezultat tegorocznych wyborów, w których zwyciężyły żywioły konserwatywne, a więc przychylne i kościołowi.

Trzeba pamiętać że od czasu zawładnięcia Rzymem przez króla włoskiego, Papież nie wyjeżdża z Watykanu, uważając się za więźnia; przedtym zaś nieraz jeździł po mieście lub nawet podróżował po Włoszech.

Przed zjednoczeniem Włoch króla w Rzymie nie było: Rzym był wówczas stolicą państwa kościelnego, a Papież jego monarchą. Papież miał wówczas swoje wojska i armaty jak inni panujący.

Od czasu jednak gdy wielki wódz ludu włoskiego Garibaldi dokonał dzieła zjednoczenia Włoch, Państwo Kościelne zostało zniesione, wojska papieskie rozpuszczone a tron monarszy w Rzymie zajął król włoski. Papież zrzekł się władzy świeckiej, wszystkie posiadane ziemie wraz z miastem Rzymem odstąpił królowi włoskiemu, a sam ograniczył się Watykanem.

Do Watykanu w celu złożenia hołdu Papieżowi i obejrzenia najwspanialszych na świecie muzeów watykańskich rok rocznie ściągają się setki tysięcy pielgrzymów.

A nietylko katolicy odbywają pielgrzymki do Rzymu; rok rocznie przyjeżdżają tam olbrzymie masy ludzi wszystkich innych wyznań. Do Rzymu ze świata całego przyjeżdżają malarze, rzeźbiarze i ludzie uczeni, znający się na rzeźbach i obrazach; przyjeżdżają, aby oglądać i podziwiać, znajdujące się w Watykanie i w innych muzeach Rzymu, najwspanialsze na świecie zbiory rzeźb i obrazów, i aby uczyć się i studjować w olbrzymich, a niezmiernie starych rzymskich bibljotekach, zawierających niemal wszystko co najmądrzejszego kiedykolwiek ludzie napisali.

—o—

MORDERSTWO PRZY ULICY MORG

W PARYŻU.

Z angielskiego.

Ciąg dalszy.

Część pytania była zatym rozwiązana: morderca niewątpliwie uciekł przez okno nad łóżkiem.

— Pozostaje teraz drugie pytanie do rozwiązania: w jaki sposób morderca dostał się z okna na ziemię? Kiedy oglądałem dom z zewnątrz, zauważyłem, że koło okna, które nas interesuje, stoi wysoki słup latarni. Słup ten jednak tak jest oddalony od ściany domu, że w żaden sposób nie możnaby przejść z niego do okna. Po uważniejszym przypatrzeniu się spostrzegłem jeszcze taką rzecz: oto okna w tym domu zaopatrzone są w okiennice starego systemu — nie z dwóch połów złożone, lecz jednolite, a więc bardzo szerokie. Okiennice te okute są wystającemi antabami, za które uczepićby się można. W chwili gdy okiennica ustawiona jest prostopadle do muru, wystający koniec dolnej jej antaby zaledwie o parę stóp oddalonny jest od górnego końca wysokiego latarniowego słupa. Gdyby więc komuś udało się wedrzeć na wierzchołek słupa, mógłby stamtąd przeskoczyć i uchwycić się za wystającą antabę okiennicy; jeśliby jednocześnie okno było otwarte, ów ktoś już łacno mógłby dostać się do pokoju; prawdopodobnie nawet sama okiennica, zamykając się pod ciężarem skoku na nią, wrzuciłaby go poniekąd w otwarte okno.

— Opowiadam panu to wszystko — ciągnął p. August — aby pana przekonać, że dostanie się przez okno do pokoju i wyjście zeń tą drogą było możliwe; potrzeba jednak na to jakiejś nadzwyczajnej, prawie nadludzkiej, nadnaturalnej zręczności. Boć przeskoczyć tak z końca słupa na okiennicę i odwrotnie to rzecz niełatwa, a bodaj nawet poprostu niemożliwa dla człowieka. Dalej—zwróć pan, proszę, uwagę na „niezwykłość“ owego „ostrego“ czy „piskliwego“ głosu, co do którego nikt nie mógł określić, jakie wyrazy i w jakim języku były wymówione.

Starałem się uważnie słuchać słów p. Agusta, nie mogłem jednak żadną miarą domyślić się ostatecznego rezultatu jego poszukiwań. Słowa jego robiły na mnie jakieś odurzające wrażenie, zaczynałem odczuwać coś w rodzaju zawrotu głowy i coraz mniej mogłem połapać się w całej sprawie. Tymczasem mój przyjaciel znowu jął mówić.

— Zwróć pan uwagę, proszę, że porzuciłem pytanie o tym jak zdołano wyjść z pokoju, zajmując się natomiast sposobami wejścia. Miałem zamiar dowieść, że jedno i drugie odbyło się w ten sam sposób. Wróćmy teraz do wnętrza pokoju. Szuflady biurka, jak powiadają były ograbione, jakkolwiek pozostały w nich jeszcze niektóre przedmioty. A skąd wiemy, czy w szufladach było kiedy co więcej, niż w nich znaleziono? Dlaczego koniecznie miały być ograbione? Dlaczego złodziej miałby zabierać ze sobą rozmaite drobiazgi, pozostawiając na podłodze cztery tysiące franków w złocie? Boć złoto było porzucone. Prawie cała suma wymieniona przez bankiera znaleziona była w rulonach na podłodze. A więc grabierz przestaje być celem tego morderstwa; bo trzebaby chyba przypuścić, że był to jakiś niezmiernie głupi rabuś, co zabijając dla pieniędzy zostawiłby je na podłodze.

— Mając teraz w pamięci wszystko, na co zwróciłem pańską uwagę: szczególny głos, zręczność niezwykłą i ten uderzający brak celu w morderstwie, tak dziwnie okrutnym — rzućmy okiem na te jatki, które się tam odbyły. Widzimy kobietę uduszoną na śmierć i wciągniętą w komin głową na dół. Zwykli mordercy nie zabijają w ten sposób; a w każdym razie nie postępują w ten sposób z ciałem zabitego. W samym sposobie wciągnięcia ciała w komin było coś zanadto przesadnego, coś nie dającego się pogodzić ze zwykłemi naszemi pojęciami o ludzkich postępkach, jeśli nawet przypuścimy, że sprawcami byli tu najbardziej zepsuci ludzie. A dalej proszę pomyśleć, jak wielką trzeba było mieć siłę, aby wbić ciało pod górę w ciasny otwór komina, skoro do wyciągnięcia go stamtąd na dół potrzeba było kilku ludziom połączyć się razem.

— Lecz były tam dowody jeszcze bardziej zadziwiającej siły. Na płycie ogniskowej leżały pęki — bardzo grube pęki — siwych ludzkich włosów. Były one wyrwane z korzeniami. Wiadomą jest rzeczą, jak dużej potrzeba siły, sby wyrwać z głowy choćby tylko dwadzieścia lub trzydzieści włosów razem. Znalezione włosy wyrwane były razem z kawałkiem skóry; a więc potrzeba było jakiejś potwornie wielkiej siły, aby tak wyrwać razem jakieś pół miljona włosów.

— Gardło starszej pani nie było poprostu przecięte lecz głowa została całkowicie oddzielona od tułowiu — i to tylko przy pomocy brzytwy. Niech pan zwróci uwagę na jakąś »zwierzęcą« okrutność tych czynów.

— Nie mówię już o porażeniach na ciele starszej pani. Doktor Dumas i pan Etien określili te porażenia, jako zadane jakimś tępym narzędziem; i w tym wypadku obaj ci panowie mają słuszność. Owym tępym narzędziem był bruk, na który upadła ofiara wyrzucona przez okno, nad łóżkiem położone. Na domysł ten, jakkolwiek tak prosty, nie wpadła policja, może właśnie dzięki jego prostocie.

— W dodatku do tego wszystkiego zastanówmy się nad dzikim nieładem w pokoju.

— Widzieliśmy więc, że potrzeba tu było zdumiewającej zręczności, nadludzkiej siły, jakiegoś zwierzęcego okrucieństwa, żeby zrobić takie dzikie jatki, niemal śmieszne w potwórnej swej przesadzie; a przytym ten głos, którego dzwięki obce były wszystkim narodowościom i w którym żadnej sylaby rozróżnić nie było mo-

żna. Cóż teraz można wywnioskować z tego wszystkiego? Co, jak pan myśli?

Ciarki po mnie przeszły, gdy p. August zadał mi to pytanie.

— Jakiś warjat — odpowiedziałem — mógł to uczynić, jakiś furjat zbiegły ze szpitala.

— Pańskie przypuszczenie — odpowiedział — niezupełnie jest bezpodstawne; jeno że w głosach warjatów, nawet podczas najdzikszych paroksyzmów, nie możnaby znaleźć podobieństwa do tych dźwięków, które słyszano na schodach. Wszak każdy warjat należy do jakiejś narodowości i język ich, jakkolwiek nie składny w wyrazach, zawiera przecież jakieś znane sylaby. Prócz tego warjaci nie mają takich włosów, jak ten, który trzymam w ręku. Wyjąłem to z kurczowo ściśniętej ręki pani Espenaj. Co pan może z tym zrobić?

— Panie Auguście! — zawołałem roznerwowany do najwyższego stopnia—to jest bardzo niezwykły włos..... to nie jest ludzki włos.....

— Wcale nie utrzymuję, że jest on ludzki — odpowiedział spokojnie;—lecz zanim powiemy coś o tym, spojżyj pan, proszę, na szkic, który narysowałem na tym kawałku papieru. Jest to dokładna podobizna śladów, znalezionych na gardle panny Espenaj; ślady te przez świadków i lekarzy określone były, jako odbicia palców i paznokci.

— Proszę zauważyć — ciągnął dalej p. August, rozkładającpapier na stole — że było to ujęcie nadzwyczaj silne i pewne siebie. Niema w nim żadnego wahania, żadnej niepewności. Spróbuj pan teraz przymierzyć swą rękę do tego rysunku.

— Spróbowałem, lecz rysunek p. Augusta zupełnie nie pasował do mojej ręki.

— Bardzo być może, że nie właściwie to robimy— powiedział p. August — ten papier leży na płaskim stole, a przecież gardło ludzkie jest cylindryczne. Oto jest klocek drzewa mniej więcej tej objętości co ludzka szyja. Proszę owinąć papier koło tego drewna i znowu przymierzyć rękę do rysunku.

Zrobiłem tak, lecz różnica między moją ręką i rysunkiem była jeszcze większa niż przedtym.

— To nie jest rysunek ludzkiej ręki — powiedziałem wreszcie.

C. d. n.

—o—



Epizod z potyczek w okolicach Mukdenu.

MYŚLI MICKIEWICZA.

Niech każdy składa talent swój Ojczyźnie, jako dar w skarbonę, tajemnie, i nie mówiąc wiele złożył. Przyjdzie czas, że się skarbona napełni, a Pan Bóg zapisuje ile każdy złożył.

Ale jeśli chwalić się będziecie, iż tyle a tyle złożyliście, tedy wyśmieją was ludzie i poznają żeście dawali talent wasz tylko dla chluby.

Zasługa dla Ojczyzny jest jako proch.

Kto proch szeroko rozsypie i podpali, zrobi mały błysk bez mocy, huku i stuku.

Ale kto proch zakopie i podpali, tedy wywróci ziemię i mur z hukiem i stukiem, a ludzie mówić będą: zaiste było tam wiele prochu; chociaż było nie wiele, ale w zakopaniu głębokiem. Przetoż i zasługa głęboko schowana, pokaże się sławnie: a kto ją tak schowa, że się na tym świecie nigdy nie pokaże, tedy ukaże się w wieczności, i huk jej będzie nieskończony, i blask jej nigdy niegasnący i skutek jej na wieki.

Zasługa dla Ojczyzny jest jako ziarno, kto obnosi to ziarno w ręku i wszystkim pokazuje, wołając: oto jest ziarno wielkie, tedy wysuszy je i nic z niego nie otrzyma.

Ale kto zakopie ziarno w ziemię, a czeka cierpliwie kilka tygodni, tędy ziarno wyda roślinę.

A kto schowa ziarno w kłosie na rok przyszły, na życie przyszłe, ten otrzyma ziarn sto, a z tych stu, tysiące tysięcy.

A przeto, im kto dłużej czeka nagrody, tem większą weźmie; a kto jej tu nie weźmie, tam wezmie największą.

ŻABY.

Żaby, jak to wiadomo, lubią siedzieć w bagnie...
Choć która zeń wyskoczy, zaraz wracać pragnie;
Więc choć są zniewolone czasem do podróży,
Zawsze na nocleg trafią do jakiej kałuży,
A wróciwszy do siebie, powiedzą z prostotą,
Że w całym świecie wszędzie jednakowe błoto.

Są ludzie, co tak samo wydają wyroki,
Że kałużą zepsucia cały świat szeroki.
I że wszędzie, gdzie spojrzeć, wysoko, czy nizko,
Trzeba zawsze jednakie napotkać bagnisko.
Lecz ja, kiedy usłyszę te skargi rozpaczne,
Zaraz surowych sędziów podejrzewać zacznę
I myślę sobie w duchu: Ci pewnie z ochotą,
Jak żaby, lubią wszędzie wyszukiwać błoto.

NASZE RYCINY.

EPIZOD Z POTYCZEK W OKOLICACH MUKDENU.

Podany na poprzedniej stronicy rysunek przedstawia pogoń japończyków za oddziałem kozaków.

Podjazd wywiadowczy rosyjski przez nieostrożność wpadł w zasadzkę japończykow. Japończycy poukrywali się z końmi w rozpadlinach ziemnych nad brzegami rzeki, pozostawiwszy na widoku tylko kilkunastu towarzyszy, którzy rozpalili ognisko i spokojnie obozowali. Była to przynęta na włóczące się w okolicach oddziały rosyjskie.

Jakoż po niedługim czasie kozacy pokazali się na horyzoncie. Spostrzegli obozowisko japońskie i ostróżnie jęli się skradać ku niemu. Japończycy długi czas udawali że ich nie widzą; aż dopiero kiedy kozacy dość blizko podjechali, zerwali się, udając największy przestrach, wskoczyli na konie i pomknęli w kierunku rzeki. — Kozacy za niemi... Wtym wyskakują zaczajeni japończycy i dalej na kozaków.

Niespodziewający się nic podobnego kozacy, zaskoczeni znienacka, zmuszeni do obrony wtedy, kiedy przygotowali się napadać, zbili się w bezładną kupę,

Dzikie wrzaski rozległy się dookoła. Japończycy nacierali śmiało a sprawnie, gęsto waląc ną ziemię kozackiego trupa.

Aż widząc kozacy, że wszystkim przyjdzie im zginąć, porwali się do ucieczki. Zostawiając na placu poległych i rannych towaszy, wielkim wysiłkiem ludzi i koni przebili się przez zamykający ich już pierścień japończyków, co pary w koniach pomknęli po stepie.

Japończycy za niemi!

Na rysunku naszym widać, że japończycy dobijają już resztek uciekających kozaków; dognali ich, opadli zewsząd i tną bez miłosierdzia.

Na prawo na przodzie oficer japoński zamachnął się szablą i zaraz wytnie jakiegoś uciekającego przed nim kozaka. Na lewo kozak z długą dzidą w ręku ogląda się, prawdopodobnie za swoim towarzyszem, którego widać wgłębi otoczonego przez japończyków.

Tymczasem japończyk najeżdża całym pędem z tyłu na oglądającego się kozaka.

Na lewym kraju widać kozaka walącego się z konia pod śmiertelnym uderzeniem japońskiej szabli.

MANDARYN KOREAŃSKI.

Na Korei tak samo, jak w Chinach, prawie nie używają do jazdy wehikułów konnych. Jedynie zrzadka, w niewielu okolicach, spodkać można dwukolne ekwipaże z zaprzęgniętemi do nich końmi lub mułami. W ogromnej większości wszelkie przenoszenie się z miejsca na miejsce odbywa się przy pomocy siły ludzkiej. Oczywiście dostępne to jest tylko dla ludzi bogatych, biedni chodzą piechotą, lub muszą nosić swych panów.

Załączony rysunek przedstawia, palankin, czyli nosze, używane przez dostojników koreańskich. Jak widać z rysunku, na to aby przen ieśćjednego człowieka aż czterech musi pracować ludzi.

Palankin chiński tym różni się od koreańskiego, że niema pod spodem opierającego się o ziemię kółka, jest więc całkowicie niesiony przez ludzi.

W palankinie koreańskim siedzenie postawione jest na giętkich drążkach, drążki te działają jak resory, oparte zaśą dwoma końcami każdy na dwóch słupkach; słupki te osadzane są w innej, dolnej parze drążków, już nie elestrycznych, za które trzymają tragarze.

Jazda, właściwie niesienie, w palankinie chińskim jest bardzo wygodna; lecz palankin koreański to istne narzędzie męki dla człowieka nieprzyzwyczajonego. Małe kółko pod spodem niemiłosiernie podskakuje po wszystkich nierównościach gruntu, co w połączeniu z ruchami niosących ludzi daje cały szereg niezmiernie złożonych wstrząśnień, uderzeń i wachnięć nadzwyczaj przykrych dla siedzącego na wierzchu.



A dodać trzeba, że siedzenie to — nie jakiś wygodny fotel, jeno poprostu deseczka, na której siedzi się, opierając nogi na wąziutkiej podstawce tuż poniżej siedzenia umieszczonej.

Siedząc na palankinie koreańskim nieustannie ma się wrażenie, jakby się siedziało na końcu kija pionowo niesionego i stukającego dolnym końcem o wszystkie nierówności gruntu.

Prawdziwie, trzeba być mandarynem koreańskim, aby zgdzić się na taką jazdę; każdy zwykły śmiertelnik napewno wolałby iść piechotą, niż być niesionym z honorami, ale w tak bardzo przykry sposób. Dostojnik koreański nie może tego zrobić, bo chodząc piechotą poniżałby swą godność mandaryńską.

WYRWAS.

,,Rachciach! ciachciach ciach! rachudrach!"
Chodził po wsi ,,miemiec" w pludrach —
Z ,,porcelanką", w czapce z denkiem!
Za dziewuchą! za ożenkiem!
Bo takiemu wszyćko mało —
Naszych kwatków się zachciało!

,,Rachciach! ciachciach ciach! rachudrach!"
Wlazł do Hanki ,,miemiec" w pludrach —
Siedzi, siedzi, podryguje
I cudeńka obiecuje!
Obiecuje ,,furt" dziewczynie:
Kawę, jadło na słoninie
I atłasy, i sajety,
I puchowe rużne ,,bety"...
A co rzeknie, co podrygnie,
To talarkiem w kiesce mignie!
To zadzwoni ,,śrebłem" w pludrach...
...Rachciach! ciachciach! ciach! rachudrach!

,,Rachciach! ciachciach! od Warszawy!"
Jak się porwie Hanuś z ławy!
Jak nie lunie ,,ajnzwajdraja",
Aż mu w zębach prysła faja!
Aż mu spadła czapka z denkiem!
,,Poszedł, szwabie! z swym ożenkiem!
Wolę doma raz dzień jadło,
Niźli twoje sperki, sadło!
Wolę doma żur jadłowy,
Niźli twoje złote mowy!
Niśli twoje ,,śrebło" w pludrach!"
Rachciach! ciachciach! ciach! rachudrach!

,,Rachciach ciachciach ciach! rachudrach!"
Śmigo ze wsi ,,miemiec" w pludrach —
Gna przełajem bez zagony —
Przez ſajczyska i *przez* żony!
Gna przełajem, aż psy wyją,
Aż mu pięty w spencer biją!
A tu za nim echem leci;
,,Masz, co chciałeś! a dobrze ci!
A ,,wróć-że się!" Pozwól ,,jesce!
Rachciach ciachciach! ciach po desce!
,,A ,,wróć-że się" w całych pludrach!"
Rachciach ciachciach! ciach rachudrach!

K. Laskowski.

Drobiazgi.

NA ULICY.

Dama spotyka znajomego doktora.

— Co by tu poradzić, doktorze, mój mąż w nocy wciąż mówi przez sen?

— Niechaj się kolejno przewraca z prawego boku na lewy.

— A gdyby to nie pomogło?

— No, to na jaki inny!

MĄDRY OJCIEC.

— Kochany panie, nie żeń teraz syna, młody to chłop i głupi jeszcze, poczekaj aż zmądrzeje.

— Ba, jak zmądrzeje, to się nie będzie chciał ożenić.

OBJAŚNIŁ.

5-cio letni Józio do ojca.

Tatusiu, a jaka jest różnica pomtędzy bykiem a wołem?

— Hm... byk to jest — ojciec cieląt, a wół to — wujaszek!

— Wybiłeś już raz swoją żonę?

— Niech Bóg broni, ani razu!

— Widać że masz anioła, a nie kobietę.

— Gdzież tam! tylko jest daleko silniejszą odemnie